№ 20. Warszawa, dnia (2) 14 Maja 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Panna Irena wstała oburzona.

— Jeżeli mam słuchać dowcipów i żartów z rzeczy tak ważnych — to wolę odejść! za wołała.

— Ja wcale nie żartuję, ale wesół jestem, bo się kocham, i cieszę się, że nareszcie mogę się wygadać. Przechodzę do dalszych zarzutów. Czyni mi pani winę z tego, żem sobie zjednał jej rodziców.

Ależ ja ich kocham i uwielbiam, że mi wychowali taką córkę - jabym im nieba przychylił, za to, że się na mnie poznali i są mi przychylni. Ja im zawsze będę nie zięciem, a synem najprzywiązańszym.

— Więc pan śmie w dalszym ciągu żywić nadzieję?

— Żywię, panno Ireno, żywię—i utrzymuję tę kochaną nadzieję, bo to nawet nie nadzieja — lecz wiara. Przecie nie sposób, to się nie zgadza z rozumem pani, żeby się upierać nierozsądnie. Bo i co mi pani ma do zarzucenia? Jestem młody, zdrów, przystojny, wesół i łagodny, a od czasu gdym panią pokochał, nawet cnotliwy. Mam dobry fach, porządne stosunki, przychylność rodziców, a pani innego nie kocha — więc pokocha mnie. Co prawda, dłuży mi się nieznośnie czas oczekiwania na wzajemność, ale ponieważ trzeba być względnym na słabości ludzkie, będę czekał, aż pani swój upór pokona.

Panna Irena wybuchnęła nareszcie.

— Dosyć tego. Otóż ja zapowiadam, że to co pan nazywa uporem jest godnością kobiecą, której pan nie raczy uznać, a którą ja cenię nadewszystko. Nie jestem ani sprzętem, ani niewolnicą, która szczęśliwą ma być z łaski pana. Wolno panu wybierać, a mnie wolno odrzucić pana, co czynię w tej chwili uroczyście, i jeśli pan potem ośmieli się mnie dalej prześladować, postępowanie pana nazwę...

— Tu pani Taida zatrzymała ją ruchem ręki.

— Nie kończ! rzekła. Nie policzkuj go, kiedy nie możesz dać satysfakcyi za obrazę. Toby było nieszlachetnie. On postąpił źle, lekkomyślnie cię sądził — teraz ja ci ręczę, że więcej przykrości od niego mieć nie będziesz.

— Przepraszam, mamo, ale ja nie ustąpię! przerwał energicznie Włodzio.

— Ty—odjedziesz jutro do Warszawy, gdzie masz obowiązki i pracę.

— A panna Irena?

— Panna Irena nie zależy od ciebie, ani sprawy ze swych czynów i postanowień zdawać ci nie jest obowiązana. Nareszcie—to przechodzi granice elementarnej delikatności, i doprawdy—nie poznaję ciebie.

Włodzio umilkł, ale wnet skombinował, że panna Irena musi do rodziców wrócić, a zatem wszystko idzie jaknajpomyślniej. Po minie jego wyczytała pani Taida myśli — i dodała:

— No, i radzę ci zająć się usilnie pracą, i nie pokazywać mi się na oczy, aż się opamiętasz i zrozumiesz — jakeś mnie dotknął i uraził.

Była to dymisya w niełasce. Włodzio się zasępił — przegrał haniebnie, i cała odwaga uleciała. Jak niegdyś, gdy dostał w skórę, milcząc ucałował rękę matki, pannie Janinie złożył piorunujące spojrzenie i sztywny ukłon i wyszedł.

Panna Irena uklękła przy fotelu pani Taidy.

— Czy pani bardzo się gniewa na mnie? spytała.

— Mam żal, żeś mi nie wyznała wszystkiego odrazu. Uniknęłabyś dzisiejszej przykrości, i przykrości rodziców. Chłopak jest jak opętany. Nie chwalę go, ale i ty mu już daruj. Naprawdę — kto ich uczy tej zarozumiałości i pewności siebie? same kobiety! Obałamuceni są łatwemi zwycięztwami i potem według tamtych — sądzą inne! Tracą zupełnie równowagę — i mają siebie za bóstwa.

Dziękuję ci za zdrową naukę; to mu posłuży w życiu.

— Pani myśli, że już mi da pokój?

— Jestem tego pewna.

— A ja nie! Czy pani widziała z jaką miną wychodził? Nazajutrz po moim powrocie, przyjdzie do nas – jakoby nigdy nic! To mnie doprowadza do rozpaczy, do wściekłości!

— Uspokój się, nie zobaczysz go, bo tutaj zostaniesz, odparła pani Taida z uśmiechem.

— To nie może być! zawołała panna Irena. Ja wyjadę gdzie na służbę. Nie mogę tu zostać!

— Owszem, tu jesteś najbezpieczniejszą. Do rodziców twoich ja napiszę, wyjaśnię rzecz. Tutaj już przywykłaś do zajęcia i do mnie. Zdrowie twoje się poprawia, mnie z tobą dobrze, Włodzio cię tu nie będzie napastował, rodzice się zgodzą; wymażemy dzisiejszy wieczór z pamięci i koniec! No, idź spać i nie rozpaczaj! Ale, jeszcze jedno: czy on ci złamał serce tą intrygą z narzeczonym?

— Nie, pani! W głębi duszy pomyślałam to samo, co pan Włodzimierz mówił przed chwilą: że małe to było uczucie, kiedy tak łatwo ustąpiło i nie żałuję go.

— Więc właściwie nienawiści, wstrętu nie masz do Włodzia.

Panna Irena pomyślała chwilę.

— On mnie doprowadza do takiej irytacyi, do takiego oburzenia swoją zarozumiałością, że doprawdy czasem nienawidzę go, ale nie mogę nienawiści zachować. Gdy ostygnę, śmiać mi się chce, bo ostatecznie on jest tak wesół

i szczery i dowcipny, że zapominam wszystko nieznośne, co mi urządza. Żeby nie te nieszczęsne staranie i oświadczyny, bylibyśmy najlepszymi przyjaciołmi.

Pani Taida zamyśliła się chwilę i uśmiechnęła.—No, to i dobrze! Idź spać. Gdy jutro wstaniesz, twój prześladowca będzie na drodze do kolei.

Po swych niefortunnych konkurach Włodzio wcale rezonu nie stracił. Wrócił do Warszawy i wedle słów panny Ireny trzeciego dnia, jakby nigdy nic poszedł do jej rodziców.

Zaraz na wstępie dowiedział się od służącej, że panienki niema.

— To nic! Jutro przyjedzie! pomyślał. Rozważał, co powiedzieć rodzicom, gdy matka wyszła i z twarzy jej poznał, że wie wszystko.

— Bardzo nam przykro, panie Włodzimierzu! rzekła, że życzenia nasze nie zgadzają się z wolą Irenki. Bardzo to ładnie z pana strony, że pan przyszedł, że się nie obraził na dziecko. Dziękujemy serdecznie.

— Czego ona się uśmiecha tak lubo! pomyślał, a głośno zapytał:—kiedyż wraca panna Irena?

— Ona wcale nie wraca. Matka pana ją zatrzymała, mieliśmy list, w którym donosi, że ponieważ Irenka panu odmówiła — sprawa ta załatwiona, a że mama rada z jej towarzystwa i wieś dziecku służy, więc ją zatrzymuje pod swoją opieką w Rudzie, gdzie pan nie bywa prawie, no i nie będziecie mieli przykrości spotkania po tem co zaszło.

Włodzio miał minę, jak ktoś, co wpadł w wodę, głową naprzód, i wydostał się na powierzchnię. Zachłysnął się, oczy wytrzeszczył i oniemiał.

— Mama mnie dopiero zaszła! pomyślał, i wreszcie rzekł naiwnie:

— Ależ mnie wcale nie byłoby przykro spotkać pannę Irenę. To ci dopiero koncept!

— Ale ona sobie tego nie życzy widocznie, zresztą, cóż robić. Między wami skończone, niestety. Miał pan w nas gorliwych stronników!

— To mama mnie zgubiła! wybuchnął.

— Ależ nie, kiedy zatrzymała Irenkę. Musi jej być życzliwa, za co wdzięczną będę do śmierci.

— Za co? Że trzymać będzie pannę Irenę w tej dziurze jako swą towarzyszkę.

— Ano, dziecko temu rade. Widocznie jej dobrze! Pisze, że jest teraz zupełnie szczęśliwa.

— Naturalnie! Dlatego, że mnie unieszczęśliwiła. To zupełnie do panny Ireny podobne.

Nic nie pomogło oburzenie. Wrócił jak niepyszny do domu i napisał list do Rudy. Po tygodniu otrzymał go napowrót, nierozcięty. Tedy począł roić awanturnicze projekty, ale ich nie wykonał i wreszcie, żeby się otrzeźwić, zaczął pilnie pracować.

U rodziców panny Ireny bywał często i zapowiedział im, że dopóki córka nie będzie z kim innym po ślubie, on z roli starającego nie ustępuje i ten oryginalny stosunek utrzymywał wytrwale. Obrażony był na matkę i pisywał do niej lakoniczne listy, pełne gorzkich przymówek.

Tymczasem przyszła wiosna, i Maj z bzami, i pewnego wieczora zjawił się Kazio w przejeździe do Rudy.

Z kolei zajechał wprost do brata i zdziwił się, znalazłszy go w mieszkaniu nad książką.

— Czyś ty niezdrów? spytał.

— Dlaczego?

— Boś zmizerniał i spędzasz wieczór w domu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MALARSTWO.

Warszawskie salony artystyczne zapełnione bywają zazwyczaj jedynie dziełami swojskiego pędzla. Jeden tylko salon Krywulta stanowi pod tym względem wyjątek. Nie myślę robić z tego zarzutu zarządowi tej wystawy, jakby to, mogło zdawać się któremu z czytelników naszych. Bynajmniej, sądzę, że zapoznawanie się z okazami europejskiego malarstwa, jest dla ogólnego estetycznego rozwoju naszej publiczności rzeczą niezbędną. Ubolewałam tylko dotąd, że wybór obrazów zagranicznych malarzy bywał częstokroć tak wielce niefortunny. Potworności pomysłu i wykonania w rodzaju „Krwawej hrabiny" i t. p. nie mogły podnosić poziomu naszych upodobań artystycznych, ani zachęcać nas do częstszego bywania w salonie. Obecnie za to z przyjemnością zaznaczam, że w poglądach kierowników wystawy zaszła widocznie pożądana zmiana. Dziś, salon Krywulta mieści w sobie kilka bardzo interesujących obrazów zagranicznych i jedną rzecz cenną, rzecz europejskiego rozgłosu. A ponieważ „à tout seigneur—tout honneur" zacznijmy od... Böcklina.

Artysta ten, pod którego pędzlem po raz wtóry odkwita przyroda, ma w Europie entuzyastycznych swoich wielbicieli. Pomiędzy tymi dość wymienić takiego Ruskina, by czytelnik zrozumiał, że niepospolitych umysłów i dusz jest malarz ten ulubieńcem. Ruskin wprowadził kult Böcklina do Anglii, skupował jego pejzaże, tworzył z nich sobie galeryę, i ukochanych tych arcydzieł pozbył się dopiero wtedy, gdy opanowany ideą społecznego dobra nawet swe wysokie zamiłowanie piękna złożyć postanowił na jej ołtarzu.

Sprowadzony do nas krajobraz Böcklina nosi tytuł „Dyana na łowach." Co powiedzieć ci o nim czytelniku? Opowiadać obraz to rzecz równie niewdzięczna, jak opowiadać poemat muzyczny. Słowa nie zastąpią barw i linii, tak jak nie są w stanie oddać tonów. Powiem więc chyba, że przyroda Böcklina żyje, że potrafił on uchwycić i na płótno przenieść część tego, co w każdym widoku natury jest mistycznem, nieujętem, niemal niemożebnem do oddania słowami, co najsilniej działa na dusze nasze, co jest utajoną duszą przyrody. Na obrazie, który przywieziono do nas, widzimy stok góry, kaskady strumienia i większą wodę jakąś w oddali i drzewa nad nią. A po drzewach tych idzie wicher; czujemy, patrząc, jak pęd jego uderza o gałązki i liście, powiew jego silny, chłodny, zdrowy chłoniemy. I cała ta przyroda taka jest młoda, taka świeża. I te łowczynie, zbiegające ze stoku góry, w pogoni za jeleniem zdają się być przyrody tej częścią, nie więcej prawie niż ona uświadomioną, i dla tego nie mącą jej czaru. Stanowią z nią jedność.

Jest w tem wszystkiem jakaś dzika, pierwotna poezya, nic gwałtownego jednak, raczej marzenie o dawnych wiekach ziemi, niżeli obraz jej rzeczywisty, marzenie ciche, pogodne, a jasne. Wreszcie „cóż śpiewać wyrazami!" Böcklina trzeba zobaczyć.

Czeskiego malarza Hilsera znajduje się tu olbrzymie płótno: „Sardanapal."

Wbrew tradycyi greckiej, nie uczynił artysta owego ostatniego króla Asyryi zniewieściałym tchórzem, lecz jednym z tych strasznych marzycieli wschodu, którzy potworne sny gorących nocy, wytwory żarem słonecznym przepalonych mózgów mieli siłę wcielać w życie.

Państwo Asyryi ginie, upada tron potężny; pod gruzami jego zginie Sardanapal. Ale wraz z nim zginąć muszą kwiaty, które zmysłom jego szalonych dostarczały upojeń. Podpalony z rozkazu władcy gore pałac jego. Do tronowej komnaty, w której Sardanapal zgromadzić się kazał swoim kobietom wdzierają się już kłęby dymu.

Za chwil kilka z tych przepięknych ciał kobiecych będą tu straszne, czarne, zwęglone trupy. Zwolennika realizmu w sztuce, obraz zadowolnić nie może, bo okropność chwili w rzeczywistości wyraziłaby się zupełnie inaczej, niżeli na płótnie Hilsera. Widzielibyśmy przepiękne rysy powykrzywiane spazmem strachu, rozpaczy, wściekłości, piękne linie ciał poskręcane w bynajmniej nieestyczne skręty. Widzielibyśmy całą ohydę, całą zgrozę niedobrowolnego zgonu. U Hilsera nic z tego. Sardanapal stoi dumny w chwili śmierci, jak dumnym był za życia. On jeden tu ma wolę umierać, on jeden nie chce przedłużać życia. Ten wyraz woli nieugiętej, świadomej siebie, daje orlą piękność jego rysom i postawie. Kobiety jedne bezprzytomne, inne pochylają w smutnej zadumie piękne głowy strojne w wieńce z róż, lub wyciągają ręce, jakby błagały o życie okrutnego swego pana, inne jeszcze żegnają się z najbliższymi. Cała ta groza jednak nie ma w sobie tego napięcia, które musiałaby mieć w rzeczywistości.

Pożegnanie króla z najmilszą z żon jest momentem pełnym liryzmu, który artysta mógł był wyzyskać bardziej, gdyby nam był ukazał twarz owej piękności tulącej się do piersi władcy, gdybyśmy ujrzeli na niej cień jakiejś innej wyższej miłości, nie tej, jaka zapewne łączyła go z innemi, z tym zastępem niewolnic, których piękne ciała, nie dusze były mu oddane.

Pod względem techniki artystycznej obraz posiada, zdaje się, wysokie zalety.

Fryderyka Uhde „Złożenie Chrystusa do grobu" jest rzeczą poprawną, ale zimną, bez polotu, bez natchnienia, do jakiego motyw ten mógłby pobudzić artystę. Nic mistycznego w tem złożeniu do grobu ciała Bogaczłowieka. Gdyby nie podpis mogłoby to uchodzić za jakąś scenę szpitalną, za zwykłe

wynoszenie trupa z miejsca jakiejś katastrofy, lub za coś innego w tym rodzaju. Twarz Chrystusa jest szlachetna i nacechowana cierpieniem, ale niema w niej pierwiastku boskości. Patrząc na nią widz pomyśli: To porządny jakiś człowiek, który musiał się dużo nacierpieć, przed śmiercią. I otoczenie jego: matka, uczniowie niosący ciało, nie noszą na sobie śladów tragicznego przejścia, które jak wicher niszczący powinno było przepalić ich dusze. Są zmartwieni, ale niema w nich boleści. I tylko plamy krwawego światła padającego od pochodni, całej tej szarej scenie jaskrawszy nieco nadają charakter.

Madonna Perlego jest to bardzo przystojna, bardzo modnie uczesana i zapewne bardzo dobrze wychowana dama, która, niewiadomo, jakim sposobem znalazła się na obłoku, właściwe bowiem miejsce jej — w salonie. Jako Regina Coeli jest poprostu śmieszną. Ta pani zapewne z wielkim taktem i wdziękiem przyjmowała gości na five o'clockach, umiejętną ręką prowadziła dom, ale bóstwem mogła być tylko — salonów.

Po za tem znajdujemy jeszcze Massina kilka krajobrazów przejętych słońcem, kilka błękitnych szmatów morza i nieba, pomiędzy którymi unoszą się białe plamy — to mewy, i kilkanaście urwistych skał nadbrzeżnych.

A teraz przejdźmy do swoich.

Niejednokrotnie już spotykaliśmy się na wystawach naszych z obrazami Pawliszaka. Artysta ten ma swój styl, czy może tylko swoją manierę. Pociągają go jaskrawości wschodu; tematy czerpie przeważnie z życia ludów półwyspu bałkańskiego. I tym razem mamy przed sobą coś w tym guście. Gromada turków, czy albańczyków wypuszcza strzały do bujających w powietrzu orłów. Rzecz pełna barwy, ale przykra w kolorycie, tak jak wogóle wszystkie obrazy Pawliszaka, na których barwy nie zlewają się harmonijnie, ale jaskrawo odbiegają od siebie.

Niezwykłą ilość nazwisk kobiecych spotykamy obecnie u Krywulta. Jedne z nich bardziej znane, inne mniej. Wymieniam kilka: Wiśniewska, Mikulska, Offmańska, Wasilkowska. Tej ostatniej znajdujemy bardzo piękny portret blondynki. Ta dama to blady kwiat fin de siecle'u z finezyą ust i zagadkową melancholią oczu. Całość pełna uroku.

H. C.



Józef Weissenhoff.

ŻYWOT I MYŚLI
Zygmunta Podfilipskiego.

SPRAWOZDANIE.

(Dokończenie).

Stary dziwak Szreński podrażniony niestylową eskapadą w Ustroniu, tak się o niej i o jej uczestnikach wyraża:

„Sam przez się ten wypadeczek niby nie znaczył, ale pomnożony przez tysiąc i przez codzień, daje miarę tego, do czego ma prawo koterya, gdy się tak prowadzi, i tak wygląda. Czem ona zaimponować może reszcie narodu, od którego jest oderwana jak balonik dziecinny puszczony w powietrze? Do nieba nie dojdzie; wynosi się nad ziemię, a w rzeczywistości wisi między niebem i ziemią, dopóki nie pęknie.”

Szreński przyznaje że cierpi, widząc degeneracyę klasy, która ma jeśli nie prawo, to łatwość przodowania. Rząd nie należy do tłuszczy, ale do wyboru ludzi, jeżeli jednak tak się tam spaczyło i zmarniało wszystko, to szkoda czasu gadać o wyborze i o przodownictwie. Muszą je wziąść na siebie inni.

Równie pessymistycznie nastraja warszawskie „towarzystwo” hr. Kostkę. Przyjeżdża on do Warszawy i zachciewa im się obojgu z żoną przyjąć u siebie wszystko, co z jakiegobądź tytułu zasługuje na takie wyróżnienie. No i osiągają tę przyjemność, i przewija im się przez salony trzysta kilkadziesiąt osób które hrabia ogląda, opatruje — którym się przysłuchuje bacznie, i oto do jakich po rozejściu się tych gości, wobec żony i Ligęzy dochodzi niewesołych konkluzyj:

„Zbiorowisko ludzi nie mających razem nic do roboty, i nie połączonych nawet wspólnemi pragnieniami czy koniecznościami, nie jest wcale ciałem społecznem, tylko gromadą—stekiem. Z bezczynności i braku rzeczywistych wspólnych interesów rodzi się *marasm*. Wogóle wiemy czem nie jest „towarzystwo” warszawskie, ale trudniej daleko byłoby powiedzieć, czem jest. Wyłączywszy kilka domów i kilkanaście osób przyjezdnych, pozostaną Odęccy, Lataccy, Podfilipscy i t. p.— szlachta, wyrażając się łagodnie. Czy to arystokracya intelligencyi?—pracy? — społecznej zasługi? Nie warto na to odpowiadać Może arystokracya pieniężna? Tej ja nie uznaję zupełnie.”

Takich pytań zadaje jeszcze kilka hr. Kostka, a odpowiedziawszy przecząco na wszystkie, wyciąga wniosek, że to są synowie dawnych rodów i rozbitki rozmaitych kółek, ponieważ jednak nie są to jednostki skupione w imię czegokolwiek, ponieważ ich wspólność stanowi plotka i krój fraka jedynie — zbiorowo wzięci są: ...Niczem!!!

Oto koniec, a raczej prawie koniec, bo dalsze losy Podfilipskiego są dla nas prawie że obojętne. Był tutaj, czyli kwitnął, jak się wyraża Ligęza —a właściwie grasował, jakby powiedział bezstronny człowiek; w końcu ekspatryował się zupełnie i tam na obczyźnie padł ofiarą, jak się zdaje, swoich uzdolnień najwybitniejszych. „Umiał sobie życie urządzać“ i „umiał jeść,“ więc urządzał i jadł, plótł przytem zapewne coraz więcej i coraz jaskrawszych bluźnierstw antynarodowych, antyspołecznych i antyludzkich ku zbudowaniu adeptów swoich, i tak go jakiś przecie atak apoplektyczny dokończył. „Mniejsza o niego— *morte la bête, mort le venin* — powie uczciwy człowiek. Ale gdybyż to tak można powiedzieć! To tylko jednym wielkim wirtuozem w sztuce urządzania sobie życia mniej, ale szkoła jest. Ach tak! —‚szkoła została, i z nią nieprędko się rozstaniemy — przynajmniej nie zanosi się na to.

Czy wam powiedzieć coś o całości książki— o jej układzie artystycznym—o tem wszystkiem, do czego się dzisiaj przywiązuje tak wielką wagę z pominięciem nawet treści i istoty rzeczy? No, jest to wszystko jak należy; jest książka zrobiona artystycznie, ale nie przypuszczamy, abyście względem autora za tę tylko formę udatną do uznania poczuwać się mieli. Odsłonięcie krwawiącej się rany społecznej, grzecznie osłanianej przez jednych, butnie i wyzywająco bronionej przez innych, a dopominającej się od bardzo, bardzo już dawna o publiczne oskarżenie i publiczną wzgardę, wymagało obywatelskiej odwagi, której dowód złożył autor niepospolity. Reszta zalet i względów wobec tej zasługi głównej, liczy się, zdaniem naszem do drugorzędnych.

O jedno może posprzeczaćbyśmy się chcieli trochę z autorem. Powiada on, że Podfilipski wyszedł z epoki pracy organicznej.

Nie bezpośrednio—w żadnym razie bezpośrednio! Hasła pokolenia pracy organicznej i żadnej wogóle pracy nie dolatywały już pod te czasy aż do naszego Olimpu. One tylko, jakeśmy rzekli, wytwarzając specyficzną atmosferę, umożliwiły wprowadzenie na arenę Podfilipskich. Bez nich, byłby gatunek został w przedpokoju, i to im także za jedną z zasług policzonem być musi.

A gdyby tak autor pokusić się chciał o sylwetkę „pana organicznego,“ skoro już o nim mowa—tak wierną, jaką nam wystawił w osobie Podfilipskiego. Talentu i obserwacyi starczy mu z pewnością na to; widział wiele, a materyału poza sferą spostrzeżeń osobistych dostarczą mu stosy całe zadrukowanej bibuły. Jak wiadomo panowie organiczni byli wielomówni.

Czas wielki i na ten sympatyczny portrecik przecie!

A. S.

Niegdyś i dzisiaj.

Prawdopodobnie dlatego, że tak pochopni jesteśmy do krytyki własnego naszego obyczaju, nie starcza nam już zmysłu do oceny obyczajów obcych, które z szczególną skwapliwością gotowi jesteśmy wprowadzać u siebie, zacierając jednocześnie ślady tego co było naszem ongi, i w czem sami nawet wzrastaliśmy jeszcze.

Jak gdyby nie dosyć nam było tego, że pozwoliliśmy modzie utrudnić sobie życie w tak wysokim stopniu, dopuściliśmy jeszcze tej modzie wszechwładnej wtargnąć w życie naszego dziecka, opanować jego umysł nierozwinięty, i rozbudzać jego pożądania. Gorliwsi pomiędzy nami przesadzają się wzajemnie w tym względzie, i szukając w gruncie rzeczy w wykwincie dziecinnego ubrania tylko zaspokojenia dla miłości własnej, starają się przytem wmówić innym, że to jest jednym z naturalnych zupełnie objawów rodzicielskiego przywiązania.

Szczególni tedy rodzice—szczególne są te ich miłości dzisiejsze!

Nie dawniej przecie jak w roku zeszłym donosiliśmy czytelnikom naszym o rekordzie, naznaczonym przez jakąś grupę pedagogów tutejszych, rekordzie, który przyznawał jako nagrodę zegarek złoty najładniej ubranemu chłopczykowi. Gdyby nie to, że wszystkie pisma codzienne powtarzały wiadomość o onej zabawie dziecinnej, i o tym konkursie z pod ciemnej gwiazdy — gdyby nie było wymienionego ogrodu, w którym się te herezye pedagogiczne odbywać miały, można byłoby całą wiadomość wziąść za jakąś złośliwą mistyfikacyę, której celem przypuszczalnym mogło być wystawienie karykaturalne naszej nieopatrzności i naszych dzikich na sprawę wychowania poglądów.

A jednakże to wszystko było, miało miejsce, Warszawa brała w tem udział, a protesty, jeśli się jakie znalazły, tonęły w oceanie zadowolenia powszechnego. Co myśleć, patrząc na taki rozbrat z rozsądkiem rodziców, co myśleć o przyszłości dzieci tą metodą wychowywanych — niewiadomo doprawdy. Może być, że wiele z tych umysłów w ten sposób prowadzonych, znajdzie swoją drogę właściwą — może być, że niejednemu z nich objawi życie swoje prawdy i wskaże kierunki, to pewne jednak, że to co się wyprobowywa w ten sposób na ich nieszczęśliwych organizacyach moralnych, z ich dobrem i szczęściem wspólności nie ma żadnej.

Jakaś stara legenda opowiada, że gdy Stwórca dzieło rąk swoich—człowieka, stworzonego z kurzawy ziemskiej pozostawił, a sam oddalił się odeń na chwilę, podkradł się zdradziecko duch ciemności i w piersi tego zagadkowego tworu złożył swoje nasiona, na których wzrost i rozwój liczył na pewno. Temi nasionami miały być namiętności. Król otchłani tak był pewnym ich niszczącego wpływu, że zaryzykował nawet ewentualne dodatnie strony popędów szlachetnych, które się z nich wykluć mogły, byle dać folgę namiętnościom i pożądaniom ujemnej natury jednocześnie. Wiedział widać, że te ostatnie górę wezmą z pewnością.

Wyraźnie nie jesteśmy tych samych opinii, co nieprzyjaciel rodu ludzkiego i nie tą samą co on posługujemy się psychologią. Dla dziecka naszego nie lękamy się pożądań—choćby nawet pożądań najpospolitszych, bo jużciż upodobania w stroju, zamiłowania próżności, do rzędu pragnień uszlachetniających i kształcących nikt się zaliczyć nie odważy — co sobie tedy zakładać możemy na wczesnem szczepieniu takiej nędzy duchowej, którą i bez nas rozwija przecież życie samo, jego wpływy i otoczenie — nie łatwo jest zrozumieć.

A jednak my z rozmysłem całym budzimy sami te zarodki przyszłego ubóstwa w sercach córek naszych, my się ciągle uporczywie dopytujemy o to, co nosi w roku bieżącym dziecko w Paryżu, i rozprawiając w wolnych chwilach o faktycznych i rzekomych wyższościach kobiety dzisiejszej, obok tej wyższej rozwojem umysłowym, obok pracowitszej i świadomej niby przeznaczeń swoich, obok kobiety przyszłości, jednem słowem jak nam ją nazywa duch czasu, urabiamy jednocześnie jak na obstalunek drugą o pustej głowie, czczem sercu — kobietę blichtru, pozorów i próżności. Czy to mają być dwa typy, czy jeden? W jednym nie pomieszczą się chyba te właściwości, tak rdzennie ze sobą sprzeczne—jeśli to zaś mają być dwie kobiety, to do jakich zadań przeznaczamy jedną, a kogo uszczęśliwić zamierzamy tą drugą? Ta pierwsza o niebieskiej pończoszce, ta przedwcześnie pochylona nad stolikiem i nadmiernie lekceważąca życie i jego powaby, zdradza nam coraz mniej skłonności do małżeństwa— co więcej, odrzuca je i wykreśla z widoków swoich, więc chyba ta ładna, ta od dziecka zdobiona, trefiona, rurkowana i fryzowana laleczka ma być przyszłą odrodzicielką pokolenia?

Nieszczególnie chyba wyjdzie na tem pokolenie.

Tyle łamiemy sobie głów nad treścią i duchem ustaw, instytucyi, wierzeń i obyczajów naszych, tak surowo osądziliśmy większość dotychczasowych drogoskazów życiowych, że odrzucając jedno za drugiem i potępiwszy kolejno wszystko, pozostajemy przy formie, a raczej przy łupinie samej, która pozbawiona ducha ożywiającego ją niegdyś, nie zasługuje już, właściwie mówiąc, na tę troskliwość, z jaką ją przechowujemy.

Chcecie przykładu czytelniczki? damy wam przykład i to taki, w którym będzie miejsce i na one wierzenia epoki minionej poniechane dzisiaj za wolą naszą — damy przykład, w którym się znajdzie i ona forma bez treści niby ciało bez ducha, a nawet znajdzie się tam miejsce na ów strój, którym was zajmujemy od początku tej pogawędki dzisiejszej — wszystkiego będzie potrochu.

Raczcież czytelniczki szanowne, wy mianowicie, które do pokolenia dzisiejszego liczyć się już nie macie prawa, raczcie sięgnąć pamięcią do chwili, w której was matki do pierwszej spowiedzi przygotowywały.

Jeśli istotnie matki, a nie obce nauczycielki były wówczas przewodniczkami waszemi, jśli nadto dał wam się los wychowywać extra muros Warszawy, albo innego miasta wielkiego, to niemożebnem jest, żeby nie stanęła wam żywo w pamięci ta chwila z jej uroczystą prostotą, z waszym podniosłym nastrojem wewnętrznym, i waszą głęboką wiarą dziecinną—ze wszystkiem co było w was samych, i dokoła was.

Wszak prawda, że to było pełne znaczenia powagi, harmonii i majestatu jakiegoś mistycznego, którego wspomnienie towarzyszyło wam przez życie, i pozostanie do jego kresu prawdopodobnie. Odwróćcie się od te go mglistego obrazka pogrzebionej przeszłości, i rzućcie okiem na dziecko dzisiejsze, tego samego wieku i w chwili tej samej którą wspominacie jeszcze dotychczas, na dziecko, a raczej na ten wykrawek paryzkiego żurnala okryty welonem, uwieńczony, wonny, pretensyonalny i pomyślcie, czy między tą formą nową przyszłej kobiety, a dziecięciem epoki minionej są jakiekolwiek zewnętrzne nawet analogie. Niema zewnętrznych, bo wnętrze zmieniło się do gruntu — niema punktów zbliżenia w oznakach, bo treść żywotów ludzkich nie ta co była — bo niestety zaniedbano tutaj istotę rzeczy, którą całkowicie poświęcono w ofierze wdziękowi formy.

Dzisiejsze dziecko rodziców możnych od dzisiejszego wychowańca suteryn i mansardów w dniu takim różni się tem jedynie, że pierwszemu strój przygotowany przez modystkę upina garderobiana pod okiem matki lub guwernantki, podczas gdy to drugie w przykry sposób parodyuje wykwintem tamto, zachowując jednak wszystkie pozory aż do drobiazgów i aż do szczególików ubrania, ale stosunek nastroju wewnętrznego do oznak—stosunek treści do formy — ducha do akcesoryów obrzędowych, tutaj i tam jeden i ten sam zupełnie.

Była ongi niezaprzeczenie podniosłość duchowa przy zaniedbanej formie zewnętrznej— mamy za to dzisiaj do artyzmu prawdziwego doprowadzony kunszt w emblematach, oznakach i akcesoryach, a o tem co się stało z duchem, może najlepiej dowiemy się kiedyś ze skutków dopiero.

Ktoby chciał przekonywać, że można jedno połączyć z drugiem, tego zapytamy wprost, czy istotnie wierzy w możliwość uroczystego nastroju u dziecka ogłupianego w takiej godzinie przez najlichszą z namiętnostek.

Jeśli wierzy, dyskusya ustaje.

K.

NEWROZA I MYŚLI WYŁĄCZNE

(idées fixes)

Sprawozdanie z prac laboratoryum psychologii experymentalnej w Salpetrière

PRZEZ

Piotra Janet.

Obszerna ta praca uczonego psychologa francuzkiego poświęcona jest studyom nad zakłóceniami woli, uwagi i pamięci — zarówno jak badaniu wzmożonej wrażliwości, uporczywej myśli wyłącznej i ich naukowemu traktowaniu. Wszystkie te stany rozbierane są w dziele p. Janet nie z punktu nauki lekar-

skiej, ale ze stanowiska czysto psychologicznego, autor bowiem twierdzi, że we wszelkich podobnych procesach pozwala się uchwycić, na uczynku niejako, pewna właściwość mechanizmu myślenia i woli, a zarazem oznaczyć rolę, jaką w psychicznem naszem życiu odgrywają wrażenia.

Ponieważ w epoce naszej, tyle dokoła siebie widzimy niedomagań i zaostrzonych nawet cierpień natury psychicznej, myślimy, że nie od rzeczy byłoby czytelnikom naszym zapoznać się z treścią książki, która do wartości naukowej realnej, łączy przymiot łatwego i popularnego przedstawienia rzeczy. Oto w treści przedmiot o którym mówi studyum p. Janet.

Przedewszystkiem nadmieniamy, że sumienne badanie wszelkich warunków i wskazań dających się odnieść do funkcyi psychicznych organizmu człowieka, doprowadza autora do wniosków terapeutycznych, i tu wykazuje on lekarzom cierpienia, które nie mogą być usunięte inaczej jak w drodze terapeutyki moralnej.

Według p. Janet wmówienie myślowe (suggestya) czy ono będzie zrobione choremu podczas snu hypnotycznego czy na jawie, a to stosownie do okoliczności, które wskazać powinny jakiego z dwóch sposobów użyć należy — wmówienie takie jest środkiem bardzo potężnym.

Kto się jednakże nie chce narazić na złudzenia, nie powinien przeceniać jego doniosłości, a szczególnie nie powinien przypuszczać możliwości traktowania tą metodą szybkiego, doraźnego — traktowania zbliżonego w pewnym stopniu do operacyi chirurgicznej. Tymczasem bardzo często żądamy podobnego oddziaływania suggestyi, to jest żądamy od niej poprostu mówiąc, cudu.

Dzieją się cuda podobne w istocie, i nie należy cofać się przed ich wywołaniem, gdy to okaże się możliwem, ale jak słusznie utrzymuje Charcot, są to w większej części ze strony lekarzy próby zuchwałe, sprowadzające nieuchronne niepowodzenia, w przeważnej bowiem części wypadków newrozy albo psychozy pożądanie szybkiego uzdrowienia jest absurdem, zarówno wobec fizyologii jak i wobec psychologii. Poddanie tedy myślowe i wszelki rodzaj traktowania psychologicznego cierpień i zboczeń tej natury, jest przedewszystkiem metodą wymagającą w zastosowaniu dłuższego czasu, jest bowiem metoda taka niczem innem jeno rodzajem wychowawczego traktowania umysłu ludzkiego.

Na ten punkt zasadniczy zwracamy tutaj uwagę czytelnika.

W takiej pracy wychowawczej lekarz musi sobie postawić dwa zadania, które nieledwie, że się wykluczają wzajemnie, a mianowicie: 1. Trzeba opanować zupełnie umysł chorego, nazwyczaić go do znoszenia obcego wpływu i cudzej woli, i zmusić go niejako do pozostawania pod jej kierunkiem, i 2. Trzeba ten wpływ starać się zredukować do minimum i starać się choremu wskazywać drogę samodzielnego myślenia.

Jeśli zaniedbamy punkt pierwszy, otrzymać możemy rezultaty tylko przejściowe i doryweze, zaledwie nadające się do tego, aby okazać na przykładzie skuteczność podobnego sposobu oddziaływania na organizm ludzki, rezultatem zaś ubocznym a zupełnie w danej sprawie niepożądanym będzie jakiś automatyzm mózgu, który sięokazać może w tej lub innej formie.

Jeśli zaniedbamy punkt drugi, wyrobić możemy u chorego w niebezpiecznym stopniu zjawisko pożądań somnambulicznych, które w krótkim czasie może wszelkie leczenie udaremnić.

Prawdziwem leczeniem hysteryi, mówił Briquet, byłoby szczęście. P. Janet stara się zrozumieć jakiego to rodzaju winno być owo szczęście, które najlepiej przypada histerykowi, i przychodzi do wniosku, że jest to prostota, a nawet nieledwie że monotonia egzystencyi usuwająca wogóle wysiłek.

Te studya nad wpływami somnambulicznymi są ważne bardzo z innego jeszcze punktu zapatrywania. Mogą one rzucić światło na badania robione często nad indywiduami uważanemi jako normalne, i ustalić pewne podstawy dla wiedzy z dziedziny psychologii normalnej. Miłość. przyjaźń, potrzeba życia towarzyskiego, wszystkie te uczucia są wielce skomplikowane.

I tak naprzykład, jest to spostrzeżeniem bardzo znanem, że pewne osoby nie umieją pracować gdy są same, to jest gdy się nie czują pod naciskiem obcej woli i dozoru. Otóż idzie o to, że to wcale nie żadna niemoc, ani lenistwo ich jest przyczyną tej nieczynności, to dlatego one są bezczynne, że nie mogą w sobie wyrobić metody, nie potrafią zdobyć się na wysiłek, ani wybór żaden. Te osoby nie wiedzą co robić — od czego zacząć — jak się do tego zabrać? To samo zjawisko spotykamy w dziełach najpodnioślejszem nauki i sztuki. Są umysły naśladownicze w najściślejszem znaczeniu tego słowa, są duchy, które się uczuwają bezradnymi, gdy się nie mogą oprzeć na jakiejś pracy już dokonanej — są ludzie, którzy mogą być tylko współpracownikami albo plagiatorami. Wieluż to jest takich, którzy wbrew przeciwnie temu, co oni sami sądzą o sobie, są doskonałymi podwładnymi, a którzy na stanowisku rządzących byliby niemożebnymi zupełnie.

Ci ludzie, którzy nie umieją sami pracować, nie potrafią również sami się zabawić. Trzeba im zawsze towarzyszów do zabawy, a nie dlatego bynajmniej, żeby z natury bardzo towarzyskimi być mieli, ale że potrzebują aby im ktoś poddał myśl pierwszą, aby obudził ich zainteresowanie się.

Dlatego też jest to niewątpliwą oznaką wrodzonej tężyzny umysłu zarówno w człowieku dojrzałym jak w dziecku, gdy oni mogą i umieją bawić się sami, a przeciwnie nudy, które udręczają tak często samotników, nie są u nich niczem innem, tylko objawem braku inicyatywy i słabości woli. Wszystkie takie osoby uchodzą za towarzyskie, za potrzebujące uczuć przyjaznych, wreszcie zapoznanemi nazywają ich często, podczas gdy według p. Janet są to tylko jednostki, którym potrzeba cudzej woli, obcych wpływów, bo się bez tych wpływów na samodzielność zdobyć nie mogą. Szukają sobie tedy przyjaciół, którzy w gruncie rzeczy kierują nimi, współpracowników, których kopiują, co im nie przeszkadza bynajmniej uważać się za oryginalnych, jednem słowem, potrzeba im umysłów, któreby czuwały nad nimi i myślały za nich. Nasza wiara — powiada Max Muller—jest bardzo często tylko wiarą innych ludzi, a Janet dodaje do tego: „Nasza wola i nasza odwaga bardzo często jest niczem innem, tylko odbiciem woli i odwagi innego człowieka.

Te wszystkie zjawiska są niewątpliwie nader trudne do uchwycenia u tak zwanego człowieka normalnego, bo ten człowiek normalny przez miłość własną albo nie wie o nich, albo umie nad niemi zapanować, ale w całej wypukłości występują u ludzi chorych, i wtedy są one dostępnemi dla każdego, który je właściwą metodą wykryć potrafi.

K.

Tanie mieszkania w Warszawie.

Niema w tem przesady najmniejszej, gdy się w naszych czasach kwestyą tanich mieszkań dla klas ubogich nazywa kwestyą społecznej doniosłości. Przy stałem pogarszaniu się stosunku potrzeb jednostki do jej płacy zarobkowej, wzrastająca ciągle cena komornego przedstawia się dla przyszłości groźnie. Tymczasem miasto nasze wzrasta szybko, spekulacya zwróciła się w budowlanym kierunku, gdyby więc inicyatywa prywatna nie stanęła w drodze swawoli kapitału, doszłoby chyba wkrótce do tego, że tam gdzie zarobek człowieka jest nizki, połowę dochodu rocznego trzebaby oddać za najem mieszkania. Jednem słowem katastrofa niechybna.

Na szczęście te usiłowania prywatne ujawniły się; filantropia zamierza wystąpić do walki z wyzyskiem, a że rozpoczęto je środkami, jak na nasze warunki dosyć znacznymi, że program działalności jej obmyślony dojrzale i nakreślony wyraźnie, więc wolno żywić nadzieję, iż część łupów przynajmniej odbić będzie można na początek nigdy nie sytej hydrze ulegalizowanego wydzierstwa.

Na początek, powiedzieliśmy, a co będzie dalej?—zapytacie czytelnicy.

Dalej będzie to przedewszystkiem, że instytucya nowopowstająca dzięki ofiarności prywatnej, nosi sama w sobie zarody rozszerzania się, że niepodobieństwem jest, aby przykład dobry pozostał bez naśladowców, że jednem słowem, tak wszechwładną i tak szczególnie groźną dla klas ubogich nie będzie mogła być nasza spekulacya budowlana, jak się przed niedawnym jeszcze czasem wydawać mogło.

Odgadują zapewne czytelnicy, że mamy tu na myśli instytucyę zaprojektowaną przez małżonków Wawelbergów, instytucyę, która przed niedawnym czasem przedstawiła ustawę swoją do zatwierdzenia władzy, i która właśnie w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca zatwierdzenie tej ustawy otrzymała. Obecnie tedy, gdy są już dane pozytywne do sądzenia, czem może być dla przyszłości zapoczątkowane dzieło, chcieliśmy doniosłość jego w krótkim zarysie uwadze czytelnika przedstawić.

W początkach Maja nastąpiło założenie kamienia węgielnego pod pierwszy dom powstający z ofiary p. Hipolita Wawelberga i jego małżonki Ludwiki. Dom budujący się wedle typu wskazanego przez specyalną komissyę dla tego rodzaju budowli, mieści się za rogatką Wolską przy drodze Górczewskiej pod nr. 11. Jest czteropiętrowy i ma dwadzieścia cztery okien frontowych na każdem piętrze. Takim jest ten pierwszy i taki jest projekt dla tych, które w myśl dotacyi powstawać mają, z uwzględnieniem rozumie się tych zmian i ulepszeń, jakie czas i doświadczenie prawdopodobnie przyniosą. W domu tym spotykamy głównie pomieszkania podwójnego typu. Jedne z nich mieć będą pokój i kuchnię, drugie tylko sam pokój. Dodatkowo znajdzie się w tym domu i typ 3-ci, mianowicie 2 pokoje z kuchnią, ale takich pomieszkań liczba na początek ograniczona. Cena lokalu roczna od 50 do 100 rs. Udogodnienia w sposobie uiszczania komornego wszelkie możliwe, zastosowane do możności klasy roboczej.

Dom ma długości frontu łokci 100, a takich domów zaprojektowano na początek 4, że zaś w każdym z nich będzie z górą 100 lokatorów, więc mniej więcej 400 rodzin robotniczych skorzysta z dobrodziejstwa udogodnienia warunków mieszkaniowych na początek.

Kapitał zakładowy instytucyi założonej przez pp. Wawelberg wynosi 300,000 rubli. O innych szczegółach ustawy słów kilka jeszcze treściwych powiemy w tem miejscu. Koszt i sposób stawiania domów przez specyalistów tak jest obliczony, aby przynosił dochodu 4 od sta. To zaś co będzie stanowić dochód czysty, kapitalizowanem będzie celem fundowania tego samego rodzaju tanich pomieszkań. Urządzenie i prowadzenie całego przedsięwzięcia bierze na siebie komitet, który pod dożywotniem przewodnictwem p. H. Wawelberga, składać się będzie z 12 członków zaproszonych przez ofiarodawców. Osoby któreby ofiarowały na rzecz instytucyi rs. 30,000 albo nieruchomość miejską przedstawiającą tę samą wartość; mają prawo uczestniczyć w komitecie ponad jego komplet dotychczasowy.

Instytucyi przysługuje prawo zakładania w domach do niej należących tanich kuchen, herbaciarni, sklepów spożywczych, żłobków, ochron, i innych zakładów z dobrem klas pracujących zgodnych.

Jak widzimy sprawa przedstawia się bardzo poważnie; rozwój tej myśli zależy rozumie się od tego głównie, o ile ona do ogółu przemówi, dochodzą nas jednak wiadomości, dające nadzieję, że dziełu filantropijnemu na epigonach i kontynuatorach zbywać nie będzie. Tymczasem i ten zawiązek sam przez się bez znaczenia nie jest—nawet wobec nawały potrzeb naszej ludności ubogiej.

X.

Juliusz Zeyer.

Zdrada w domu Han.

Legenda Chińska.

Przełożył z oryginału

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

Ciemno-modra woda zapieniła się i kołysała figlarnie czółna z konchy perłowej w karminowych jedwabnych żaglach. Całe rozfalowane i pobrużdżone jezioro wydawało się jak ogromny atłasowy płaszcz szafirowej barwy, przetykany srebrem, naszywany drogimi kamieniami. Na każdem czółnie stała wiosłująca niewolnica w jasnej fałdzistej szacie, z czarnymi z wiatrem wiejącymi włosami, a czółna tak były barwistymi wieńcami i uroszonem kwieciem przeciążone, że wody im pochłonięciem groziły. Pomału zbliżały się do brzegów, wiatr niósł upajającą woń ich ładunku przed niemi, a igrając z powietrznemi szatami wiosłujących niewolnic, zdawał się wstrząsać niemi, jak woda gajem biało kwitnącego sitowia. Gdy flotyla przybiła do brzegu, pośpieszyły dziewy pałacowe do czółen, każda wybrała sobie wieńce i kwiaty, i z uśmiechem na ustach jęła przeplatać nimi ciemne włosy. Potem rozeszły się znów po ogrodzie ożywione te kwiaty z oczyma jaśniejszemi niż rosa, z perlącemi się śmiechy, słodszemi i dźwięczniejszemi niż śpiewy ptasie w cieniu pełnych koronach drzew.

Kutaju rozpoczął też znowu swą przechadzkę. Na każdem ramieniu wisiał mu przepiękny wieniec z białych lotosów, jeden przepleciony wstążką purpurową i nićmi złotemi, drugi — wstążką białą, usianą perłami. Oczy jego błądziły w zadumie z pod białych brwi po twarzach dziew; wydawało się, jak gdyby kogoś z upragnieniem szukał. Niekiedy zatrzymywał się, i zdawało się, że chce przemówić, ale po chwili potrząsał głową i kroczył znów dalej. Naraz wszakże stanął jak osłupiały. W cieniu ogromnej brzoskwini, okrytej śniegiem niezliczonych kwiatów, drżących na wietrze i połyskujących rosą, siedziała dziewa na grzbiecie lazurową łuską okrytego smoka. Ze srebrnej szyi białej wazy, stojącej za smokiem, pięły się delikatnie zielone pręty wierzby i zwisały aż na czyste czoło dziewy. Trzymała w ręce gitarę z drzewa sandałowego i plektrem z kości słoniowej wydobywała ze śpiżowych strun fale słodkiej melodyi. Na szmer kroków podniosła głowę. Była podobna złotemu miesiącowi w czarnej chmurze, oczy jej były jak dwie cudowne, ciemne, złotemi skrami tryskające ptaszyny—usta, jak purpurowy kwiat. Była to piękna Ziandy, pycha haremu. Wstała, aby pozdrowić starca, gitara wysunęła się z długich, białych palców, delikatnych jak pierze łabędzie, o paznokciach połyskliwszych nad dyamenty.

— Zapomniałam uwieńczyć sobie głowę, szepnęła, ale Kutaju przystąpił do niej bliżej, podniósł wieniec lotosowy, przepleciony purpurą, i zawołał z zachwytem:

— Wieńczę cię wieńcem królewskim, tyś jedyna godna siedzieć na tronie świata u boku smoka cesarskiego!

Piękna Ziandy drgnęła całem ciałem, nie powiedziała nic, powieki jej oczu przymknęły się, długie, ciemne, wygięte w kabłąk rzęsy opadły niby cień wdzięku pełny na zbladłą jej twarz, trzęsące się ręce, miękkie jak jedwab, zamykały się, otwierały kurczowo, a przez ruch dyamentowych paznokci gwiazdy zdawały się dżdżyć z jej dłoni. Nagle wszakże oczy jej otworzyły się na ścieżaj i lunęły potokiem ognia w twarz mandaryna, potem opuściły się znów pokornie, i piękna Ziandy padła na kolana. Usta jej poruszały się, jak gdy wiatr zadmie w aksamitne listki róży, ale żadne słowo z nich nie wyszło, potem przychyliła je aż do ręki mandaryna Kutaju, przycisnęła je w ognistym pocałunku do jego palców i rzekła ze wzruszeniem:

— O, wieczny, przyjmij dzięk! Panie mój, zaiste, wspominałabym wdzięcznie o tobie, zasiadłszy na złotym tronie, i nigdy nie żałowałbyś dzisiejszych swych słów!

Kutaju uśmiechnął się i teraz dopiero położył wieniec z purpurową wstążką, który dotychczas nad głową jej trzymał, na ciemnych jej włosach. Ziandy, jakby pod brzemieniem wieńca, padła na wznak na grzbiet modrej potwory, głowa jej osunęła się jakby w śnie na złotą grzywę smoka, a delikatnie zielone, długie pręty wierzby zginały się nad nią z białej wazy swym wiecznie smętnym ruchem, i zdawały się szeptać jej do ucha: „Pod brzemieniem radości padasz jako pod brzemieniem smutku! Szczyt radości jest sąsiadem bólu! I w uśmiechu wiosny tai się łza, a upojenie winem do płaczu zmusza!"

Ale piękna Ziandy nie słyszała; nie słyszał też Kutaju, który teraz szedł dalej spokojnie.

— Władza ma zapewniona, szeptał do siebie mandaryn z zadowoleniem. Ziandy jest w ręce mej, a Juenti podda się jej woli, bo dziewa ta jest szczytem piękności. Gdzież mógłbym znaleźć podobną do niej?

W tej chwili droga jego skręciła w gąszcz, i po chwili znalazł się na soczystej łące, gdzie stał kiosk, zwany „barwistym obłokiem," dla jedwabnych zasłon, wiszących między modremi jego kolumnami, owitemi srebrem sztucznych gadów i wieńczonemi rubinów czerwienią. Wiatr rozwiewał, jak mgłę, zasłony przetykane złotem i grające wszystkiemi tęczy barwami, a na srebrnej podłodze, kędy emaliowane jaszczurki jak drogie kamienie w słońcu lśniły, stała dziewa, cudna jako wiosna sama. Patrzała w zamyśleniu i rozmarzeniu na wspaniałą kępę drzew moszo-jo, tego dziwu roślinności, którego kwiaty, rano przejrzyście modre, przechodzą z postępem dnia w złotą żółtość, a w nocy w głęboki ściemniają się lazur. Przedziwnie piękne ciało dziewczęcia tonęło jak w obłoku, w ciemno-różowej szacie zwierzchniej, z pod której jasno-żółte fale powłóczystej atłasowej sukni spodniej wydobywały się bogato i na srebrnej podłodze złotym rozlewały potokiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Fundusz stypendyalny.

Z okazyi jubileuszu dwudziestopięcioletniej działalności p. Stanisława Bruna na stanowisku podstarszego zgromadzenia kupców m. Warszawy odbyła się w resursie kupieckiej uczta dla uczczenia zasług cenionego w świecie handlowym kupca i obywatela. Zebrani przedstawiciele sfer handlowych i przemysłowych w liczbie stu kilkudziesięciu, wręczyli jubilatowi ozdobny adres opatrzony kilkuset podpisami, w którym oznajmiają subskrybenci, jako dla upamiętnienia pożytecznej działalności społecznej i dobroczynnej p. Bruna, zebrali pomiędzy sobą fundusz i ten przeznaczają na kapitał żelazny imienia jubilata. Odsetki od tego kapitału wynoszącego rubli 13,250 utworzą stypendyum dla młodzieży kształcącej się w zawodzie handlowym.

Politechnika warszawska.

W zeszłym tygodniu obradowała podkomisya wyznaczona dla wynalezienia lub budowy gmachu odpowiedniego dla tej instytucyi naukowej. Za miejscowość najodpowiedniejszą uznano terytoryum po byłej wystawie hygienicznej w sąsiedztwie toru wyścigowego. Tymczasowe pomieszczenie dla politechniki obmyślono w zabudowaniach dawnej fabryki „Union“ przy ulicy Marszałkowskiej. Przy przeróbce posesyi odpowiednio do celów, obliczono miejsce potrzebne dla 500 słuchaczów. „Wiek” podaje wieść poczerpniętą ze źródeł Petersburskich, iż podług ostatecznego projektu ustawy dla politechniki warszawskiej, w braku kandydatów z właściwymi stopniami naukowymi, minister skarbu będzie miał prawo przy otwarciu instytutu mianować na katedry osoby znane ze swoich kwalifikacyj w danej specyalności, choćby osoby te nie posiadały wymaganych przez prawo ogólne stopni naukowych.

Sprawy miejskie.

Komissya budowlana obejrzała 368 nowych domów wzniesionych przez ciąg ostatnich piętnastu miesięcy i spisała 176 protokułów dotyczących niezachowania przepisów objętych instrukcyą dla budujących się w obrębie Warszawy nieruchomości miejskich. Dodatkowo wspomnieć tu wypada, że z pośród budujących się w zezonie bieżącym stu pięćdziesięciu domów, 17 tylko jest własnością chrześcijan, reszta zaś jest własnością naszych tak zwanych: *naszych*. Zapewne po wyczytaniu tej wiadomości, będą mogli sobie czytelnicy odrazu objaśnić przyczynę wszystkich zawaleń, porysowoń, osunięć i innych drobnych wypadeczków, zagrażających do pewnego stopnia zdrowiu i bezpieczeństwu mieszkańców.

Leczenie.

Ze sprawozdania dr. Władysława Oltuszewskiego kierownika warszawskiego zakładu dla zboczeń mowy oraz cierpień jamy noso-gardzielowej, dowiadujemy się, iż od czasu otwarcia zakładu leczyło się w nim chorych:

	mężczyzn	kobiet	ogółem
Na niemotę	35	31	66
„ bełkotanie łącznie z wadliwem wymawianiem	24	17	41
„ mowę nosową	1	1	2
„ jąkanie	83	22	105
„ trzepotanie	1	2	3
Razem	144	73	217

O szczegółach sprawozdania nieomieszkamy podać wiadomości w jednem z najbliższych numerów, w przekonaniu, że dla ogółu czytelników rzecz ta bez interesu być nie może.

Teatr ludowy.

Pisma codzienne donoszą z zadowoleniem, że Warszawa w miesiącach letnich roku bieżącego będzie miała już tyle oczekiwany teatrzyk ludowy, albo coś bardzo zbliżonego do tego rodzaju widowisk. P. Władysław Gutowski mianowicie, autor sztuk dramatycznych ludowych wynajął w tym celu teatrzyk w Bagateli, gdzie zamierza ściągnąć żądną, jak utrzymuje prasa, wrażeń scenicznych, ludność robotniczą Warszawy, a może i okolic. Wejście do ogródka w Bagateli wynosi kop. 10, cena przeciętna krzesła nie przekroczy kop. 30, w tem więc widzą pisma jedną z rękojmi powodzenia dla przedsięwzięcia. Ponieważ zaś przy tych cenach niewiadomo czy wyszedłby na swoje dyrektor teatrzyku, gdyby chciał, jak to robią wszyscy podobni jemu, opłacać jeszcze i aktorów, przeto wymyślił p. Gutowski nową kombinacyę, która ma tę zagadkę rozwiązać i to właśnie rozwiązanie stanowi rękojmię drugą dla szans tego teatrzyku. P. Gutowski wynalazł aktorów, którzy ani myślą dopominać się o gażę; będą nimi uczniowie tutejszej klasy dykcyi i deklamacyi, którzy ofiarowują swoje usługi darmo. Tak jest, darmo. Rozumie się, gdyby sukces okazał się wielki, gdyby przedstawienia dawać miały zyski, wówczas artyści-filantropi decydują się przyjąć w nich udział, w razie jednakże, gdy do podziału okaże się zero, gorliwi adepci sztuki poprzestaną na służbie honorowej w świątyni sztuki, która będzie ich pierwszem polem produkcyi.

Pomysł jest istotnie dobry i przy takich gratisowych aktorach niejeden impresario zdecydowałby się otworzyć teatr, ale jest tu i tak jeszcze kilka znaków zapytania, na które przyszłość tylko dać może odpowiedź. Do tych znaków zapytania nie liczymy bynajmniej dyletanckiej gry sił młodych rozpoczynających dopiero zawód, a raczej stojących dotąd w przedsionku swojej świątyni—nie liczymy dlatego, że znaleźć się tam mogą i znajdą nawet niewątpliwie talenta, a potem publiczność uczęszczająca na te widowiska wybredną z pewnością nie będzie. Z tej strony więc nic zdaniem naszem nie zagraża i dotąd nawet wszystko jest bardzo dobrze — aż nadto dobrze niemal. Mamy na myśli inne jednak że ewentualne szkopuły nieodłączne od wszystkich tego rodzaju zobowiązań, gdzie jedna strona daje pracę, a druga deklaruje się za tę pracę wynagrodzić ją nawdzięczniejszym chociażby ukłonem, ale tylko ukłonem—niczem wiecej. Takiej trupy, któraby się zadawalniała chrześcijańskiem „Bóg zapłać” i była przytem gorliwą, a nadewszystko była akuratną, wyznajemy, że nie wyobrażamy sobie wcale. Toby trzeba wybrać ludzi niezależnej pozycyi materyalnej, a przytem ludzi idei, my zaś wiemy bardzo dobrze, że między uczniami klasy dykcyi i deklamacyi mała jest liczba odcinających kupony i pobierających procenta od kapitałów, a co do idei.. no, to po co my się będziemy łudzić. Idea, to roślina egzotyczna, która w danych warunkach prosperować nie chce, i budować coś na takim fundamencie byłoby rzeczą zawsze wysoce ryzykowną, jeśli nie gorzej jeszcze. A co powie dyrektor, gdy przyjdzie zawołać: XX na scenę! a XX będzie w domu u siebie, albo o parę wiorst za rogatką? Co powie dyrektor, gdy mu aktorowie będą przerzucać się rolami, odmawiać słuchania jego rad i wskazówek udzielanych dla dobrego oddania sztuki, gdy będą kaprysić tyle chociażby, ile kapryszą ich koledzy całego świata nb. koledzy płatni, zakontraktowani i zobowiązani do względnego przynajmniej posłuszeństwa?

Na to wszystko teraźniejszość nie może dać odpowiedzi ani nam, ani panu Gutowskiemu, ale tak mniemamy, że ta odpowiedź w przyszłości się znajdzie. Życzymy z serca żeby ona była najpomyślniejszą dla inicyatora teatrzyku ludowego, a tymczasem jeszcze o jednej i ostatniej wątpliwości słówek kilka nieśmiałych powiedziećbyśmy pragnęli.

Czy my naprawdę przekonani jesteśmy, że 10 kop. za wejście, a 30 za bilet, czyli razem kop. 40 to jest cena taka nadewyczajnie.. ludowa? Nam się wydaje że nie. Wszak to ma być dla tych, których zarobek dzienny nie dochodzi rubla, bo o innych mowy tu przecież być nie może. Zresztą bierzmy przykład z zagranicy. Kiedy przed laty, doskonały w swoim rodzaju artysta dramatyczny, a przytem człowiek idei, niejaki Schweiger, fundował w Monachium swój teatrzyk ludowy, inne on na widowiska naznaczył ceny. Były tam loże po 2 guldeny mieszczące 6 osób, były krzesła po 18 krajcarów i były nakoniec miejsca stojące po 6 krajcarów. I miał frekwencyę bardzo wielką, bo niezależnie od tych cen minimalnych włożył w to intelligencyę własną, znaczną część własnego mienia, zdobył sobie subwencyę rządową i rozporządzał nieladajakim repertuarem teatralnym.

Repertuarem.. co powiemy o tym argumencie ostatnim?

Co powicmy—niewiadomo, ale to pewna, że byłoby sporo do powiedzenia.

Nie wynika jednak z tego, żebyśmy spróbować nie mieli. Owszem, sprobujmy.

Wskazówki i rady.

Sałata z ogórków.

Wybrać dobrze dojrzałe, ale nie przestałe, to jest jeszcze nie żółte ogórki, obrać i ostrym nożem pokrajać jak najcieniej, położyć na czystem zupełnie sicie, mocno posolić, przykryć talerzem lub jeżeli jest więcej, płaskim półmiskiem, a na talerzu naturalnie płaskim położyć jaki ciężarek dwu lub trzyfuntowy, aby przyciskając ogórki, dozwalał zbytecznej wodzie z ogórków odpływać. W godzinę zebrać ogórki na salaterkę, posypać najprzód pieprzem a następnie oliwą i octem, wymięszać i podać. Nie potrzeba też do sałaty zwyczajnej zielonej brać więcej oliwy jak octu, bo zielona flaczeje prędko pod wpływem soli i octu.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Marya Rodziewiczówna: Kądziel (dalszy ciąg). — Malarstwo. — Józef Weissenhoff: Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego (dokończenie). — Niegdyś i dzisiaj. — Piotr Jeanet: Newroza i myśli wyłączne. — Tanie mieszkania. — Juliusz Zeyer: Zdrada w domu Han (dalszy ciąg). — Kronika. — Ogłoszenia. — Edmund Chojecki: Alkhadar, powieść z życia ojców naszych (dalszy ciąg).

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Rotmistrz w tej chwili wypełniał usta winem, prysnął więc od śmiechu jak delfin dwoma strumieniami tokaju na środek stołu, czem ostatki wesołości z obecnych na wierzch wydobył; gwar i wrzawa taka powstały, że jeden z trudnością mógł drugiego zrozumieć. Wszyscy rozprawiali; rozmowa atoli przestała być ogólną, każdy zwracał się wyłącznie do swego sąsiada. Nadchodziła ta zajmująca chwila każdej uczty, gdzie opadają z biesiadników pożyczane kształty, larwy ulepione przez samolubstwo i przywdziane dla ponętnego odrysowania się na tle towarzyskiego życia—chwila, gdzie każdy duch wyłania się w rzeczywistych swoich zakrojach, i albo jak płaz pełza po ziemi, albo jak zwierzę miota się na wsze strony, albo szatańsko wyziera przez oczy, lub rozaniela twarz, skrzy egzaltacyą i promieni się szlachetnym zapałem.

Węgrowie powoli zbliżyli się ku sobie, wreszcie zajęli jeden róg stołu i w niezrozumiałem swem narzeczu wszczęli żwawą rozmowę. Zapomnieli, że byli w gościnie u Polaków, gospodarz też nawzajem nie chciał im przerywać, może dla tego, że sam zupełnie co innego miał na myśli.

— Powiedz mi Juliuszu — mówił do przyjaciela — jak sądzisz, czy mogę na to liczyć, że Sokolnik kupi odemnie moją parę anglizowanych koni? Szkapy nie pierwszej młodości, łatwo się męczą, ale za to jak wypoczną, w całym Lwowie nie znajdziesz podobnych paradyerów. Radbym, abyś go z boku wybadał, wczoraj już bowiem na balu, pytał mnie, czy nie mam koni na sprzedaż?

Juliusz obejrzał się dokoła; mógł być pewnym, że nikt słów jego nie dosłyszy. Młodzież otoczyła kapitana, który rozpowiadał jakieś nadzwyczajne szczegóły o polowaniach, mianowicie, jak świętemu Hubertowi jeleń pokazał się z krzyżem między rogami, jak odtąd myśliwym często pokazują się rogi, ale krzyża nigdy między niemi nie widać.

— Chcesz Władziu, abym Sokolnika z boku wybadał?... rozumiem, badanie z boku jestto sentymentalna podróż po kieszeni; lękasz się, poprostu mówiąc, aby dygnitarz ci nie zapłacił? Pojmuję obawę tego rodzaju, chociaż nie uważam jej za uzasadnioną. Sokolnik — dla żyda kupca, dla bankiera, dla większego wierzyciela, nie znajdzie pieniędzy, ale w tej samej chwili, gdy będzie zaręczał tym panom, że podobne żądania sprzeciwiają się własnej ich korzyści, w tej samej chwili powtarzam, z łatwością rzuci kilkaset dukatów na zapłatę honorowego długu.

— Ależ tu wcale nie chodzi o przegraną w karty; pieniądz za dostarczoną rzecz bynajmniej nie należy do honorowych długów.

— Mylisz się; długi honorowe są te wszystkie, których niezapłacenie wystawia na szwank honor domu, czyli inaczej mówiąc, drażni i upokarza najwięcej miłość własną. Chciej tylko raz dobrze pojąć tę teoryę. Pan, nie zaspokajający większych wierzytelności, nazywa się człowiekiem w interesach, czasami spekulantem. Żydzi i kupcy muszą czekać z niezapłaconemi rachunkami — to ich psia powinność, ich powołanie; pocóż żyją na świecie i wiecznie rozprawiają o kredycie?.. Pan wreszcie nie ma czasu zajmować się podobnemi drobnostkami. Ale tenże sam Pan, jeżeli nadto ma córkę na wydaniu, ani na chwilę nie nadużyje cierpliwości człowieka, żyjącego w świecie, zaprzyjaźnionego z najmajętniejszą młodzieżą w kraju, i mogącego samemu postawić się w rzędzie zalotników. Sprzedawaj śmiało anglizowane konie.

— Sokolnik więc rzeczywiście w krytycznem jest położeniu?—zapytał Wilczek.

— Nie mam z nim żadnych pieniężnych stosunków — odrzekł Juliusz — dokładnie o niczem nie potrafię cię zapewnić, w powietrzu atoli jakie go otacza, czuć pewną woń golizny; przytem różne, od kilku miesięcy, uwijające się koło niego postacie, kadłucznie coś wyglądają na kruków, wietrzących hypotecznego trupa. Biedna Marya! jej mi żal najwięcej — starzy, prawdę mówiąc, niczego już nie potrzebują, ale ona, młoda, piękna...

— Wszelako Sokolnik ma obszerne włości, i gdyby kto zabiegły szczerze wziął się do prowadzenia jego interesów...

— Sądzę, że nie ruszyłby z miejsca; ciężki to wóz i roztrzęsiony, za pierwszem pociągnięciem rozsypie się w kawałki.

— Czy nie spodziewa się jakiego dziedzictwa, jakiego ciężkiego zapisu?

— Niczego, oprócz serdecznych rad i błogosławieństw; sam jesteś blizko z nim spowinowaconym i wiesz o tem najlepiej; bogaci krewni mają liczne potomstwo, inni jęczą w rękach Jezuitów, a od tych ostatnich, niewiele kto się pożywi.

Wilczek wpadł w zadumę; jakieś przystosowania zakrążyły mu po głowie, nie zważał, że Juliusz wpatrywał się weń przenikliwemi oczyma, chmurzył coraz czoło, wreszcie wzruszył ramionami, jak gdyby chciał był rzec: nic tam nie ma do czynienia.

— Z tem wszystkiem — dodał po chwili — pannie Sokolniezance nie zabraknie na wielbicielach, dziewczyna znakomitego rodu, piękna — tego jej sam dyabeł nie odmówi — trochę za szczupła.

— W kibici i w posagu — odparł Juliusz — wszelako nie sprzeczam się; są ludzie, którzy o względy na nędzny kruszec wcale dbać nie będą — ludzie zacni, szlachetni, wielcy! Nemesz naprzykład, nie potrzebuje oglądać się na wiano, a nawet między naszą młodzieżą dałoby się wynaleść...

— Między naszą?... trudno — ciężkie czasy; panna z wysokiego domu jestto wypożyczony, ogromny kapitał moralny, od którego trzeba płacić społeczeństwu gruby procent.

— Zapewne, ależ znowu nie przyszliśmy do takiej ostateczności, są jeszcze i między nami majątki, masz oto pierwszego Poraja. Przed kilku laty człowiek małoznaczący, dziś słusznie można go uważać za jednego z najbogatszych obywateli.

— Pana Piotra chciałżebyś widzieć połączonego z Maryą?

— Tak jest; połączonego — pokrewnym związkiem; zapominasz o jego młodszym bracie. Przystojny chłopiec i gdyby miał więcej rozumu, z łatwością mógłby się przenieść ze stanu rycerskiego do magnatów.

— Zwolna, zwolna mości panie! — zawołał Wilczek, nie powstrzymując tym razem głosu — jeszcze u nas za pieniądze wszystkiego kupić nie można. Pamiętaj wreszcie, że Sokolnik jest moim dalekim krewnym, że przyszłość jego córki mnie także obchodzi. Jeżeli stary utracyusz chce koniecznie dziecka z domu się pozbyć, niechże przynajmniej pogodzi tę gwałtowną chęć z honorem rodziny, niech dziewczęcia nie rzuca na pastwę pierwszemu lepszemu szlachciurze. Chce wydać córkę?... w kraju nie widzi dla niej przyzwoitych mężów?... niech rusza do Wiednia, dam mu dwa moje paradyery na kredyt; — ma tam Palfich, Zichych, Dietrichsteinów, Szwarcembergów, zmedyatyzowanych książąt i hrabiów jak śledzi, — wreszcie po co daleko szukać? sama Opatrzność zesłała mu do domu młodego Fürstenberga; niech mu swój dom otworzy. Chłopak wprawdzie nie bogaty; jestto najmłodszy syn ordynata, ale rodzina potężnie go popiera, może z czasem zostać wysokim urzędnikiem, a nawet zasiąść u nas na miejscu Kriega. Więcej, spodziewam się, mu nie potrzeba. Zresztą niesłusznie się unoszę, znam zasady Sokolnika; fortuna może wpłynąć na jego położenie majątkowe, ale nigdy nie zmieni w nim sposobu myślenia.

— Są to bardzo piękne zasady, szkoda tylko, że świat z każdym dniem od nich odstępuje; stosunki towarzyskie coraz bardziej układają się do równowagi, i jeżeli jedna szala zbyt długo będzie przeważać, kto wie czyli nie wypadnie obciąć jej ciężaru? — Teorye, ideały stawiasz mi przed oczyma, ty sam Władziu wbrew im postępujesz — prawił Juliusz, znacznie głos zniżając; dość popatrzeć, jak się obchodzisz z ludźmi, którzy pod żadnym względem nie są ciebie warci ani z urodzenia, ani z wychowania, a czasami nawet z majątku; żyjesz z nimi jak z braćmi, ściskasz, przyjmujesz, grzeczności świadczysz.

— To całkiem inna rzecz — mówił Wilczek, oparłszy ramię na szyi Juliusza — mogę kochać ich z całego serca, będę żył z nimi wiek i żaden nie pomiarkuje się, że jednego nad drugiego przekładam. Wszystkie pokoje mego domu stoją dla nich otworem — z wyjątkiem jednego — tak jest — ten jeden dla siebie wyłącznie zachowuję, a jest nim gabinet moich związków familijnych, interesów i tajemnic mnie samego dotyczących. To nie przeszkadza, że każdego z nich kocham, cenię, poważam, ale nie każdemu oddałbym moją siostrę za żonę, nie z każdego siostrą sam bym się ożenił. Powinności, jakie człowiek ma względem siebie, są daleko ważniejsze od tych, jakie mo

że mieć względem drugich, rozumie się względem ludzi, z którymi żyje, inni bowiem wcale mnie nie obchodzą.

— Masz słuszność, Władysławie, Poraj jednak pochodzi z uczciwej rodziny.

— Nieprzeczę—z uczciwej, z bardzo uczciwej, z najuczciwszej, najzacniejszej, najszlachetniejszej, jaką kiedykolwiek żyła na świecie. Wszakże nic przeciw rodzinie nie powiedziałem; niepotrzebnie go bronisz, ale jest to człowiek za młody, za mało doświadczony dla takiej kobiety jak Marya.

— Starszy brat bezwątpienia zapisze mu cały majątek; summa obu tych majątków jest większą aniżeli mniemasz.

— Niech mu zapisuje wszystkie kopalnie Potozu, niech swojemi bogactwami przyćmi bogactwa Tysiąca i jednej Nocy, co mi do tego? ja obejdę się bez jego dostatków;—niech sobie przewala się po złocie, ja nie przyjdę prosić go o dukata!... Wino targało Wilczkiem i wydobywało zeń głęboko tajone uczucia. Panicz ile razy sobie podchmielił, łamał ujmujące formy, w które go przyzwoitość światowa przyoblekała, nie rozczulał się według zwyczaju krajowców, a bardziej jeszcze przodków, ale przeciwnie, bladł, chmurzył się, i za każdym kielichem coraz bardziej srożał. Juliusza bawiło to gniazdo węży, które za każdym poruszeniem podnosiły syczące głowy i złością na świat świszczały.

— Powiadają — ciągnął wolnym głosem — że młody Poraj, za granicą nader świetnie ukończył nauki.

— Cóż mnie to obchodzi—zawołał Wilczek widocznie zniecierpliwiony—nie jestem profesorem, abym go egzaminu słuchał, jak również uczeń ze mnie za stary, nie pójdę prosić go o naukę; na ostatek do miliona szatanów! poco mam mięszać się do cudzych spraw? czy nie możemy o czem innem mówić jeno o ludziach? Niestworzony jestem ani na opiekuna, ani na doradcę, ani na cenzora!

I przy ostatniem słowie uderzył kieliszkiem w stół; szkło rozprysło się i dźwięcząc rozsypało po posadzce. Juliusz spuścił oczy Wilczek pomiarkował, że zaczynał zwracać powszechną uwagę; zapanował nad sobą, i przywoławszy dawny uśmiech na lica, wesoło zawołał.

— Cóż to panowie — niewstydże wam waszego próżniactwa? nie macież litości nad temi butelkami, które tak pokornie szyjki ku wam wyciągają? czyliż zapas waszej wesołości zaledwie na godzinę wam wystarczy? Rotmistrzu — brak mi serca powstawać dziś na ciebie za zły przykład, jaki dajesz młodzieży. Dość tych partyzanckich pogadanek! Dopóki dno butelki jeszcze zakryte, to i na toaście niezbędzie. Oto pełne kieliszki;" i ja także umiem różne piosenki:

Staw butelki, nalej szklanki
Każdy zdrowie swej kochanki!

Powstało pospolite ruszenie; Węgrzy ucięli swoją rozmowę, młodzież otoczyła Wilczka, który stanąwszy na krześle i wsparłszy jedną nogę o stół, z butelką węgrzyna wyzywał towarzystwo do ciągnięcia dalej przerwanej biesiady.

— Kochajmy się! — krzyknął Skałka, obejmując za szyję Hoszwarego.

— Zdrowie gospodarza! — zagrzmiała chórem młodzież i oficerowie.

— Co kto kocha! — wtrącił Juliusz.

— Zapewne! co kto kocha! — powtórzyli obecni, nie bacząc, że w obliczu prawdy, większa część piła za własne zdrowie.

— Co kto udaje, że kocha!—zawołał znowu Juliusz.

Tym razem nikt nie pomyślił o sobie, wszyscy głośnym śmiechem odpowiedzieli na toast; jeden Wilczek cisnął na krzykacza błyskawicowe spojrzenie, odrzucił kieliszek, porwał szklankę i napełniwszy ją zamorskim likworem — rzekł:

— Słusznie mówisz! prawda jak słońce świeci z twego toastu, myśl nowa żąda nowego napoju. W twoje zatem ręce, kochany Juliuszu.

— Władziu!—przerwał Skałka—dotąd mieliśmy do czynienia z napojem, który głowy tylko zawraca, ale ten ostatni, nogi zdradziecko podcina. Miej litość nad nami, jeżeli nie chcesz nóg pozbawić.

— Wstydź się kapitanie, ty, który dokazywałeś już za Prusaków, miałżebyś zapomnieć jakto generał ich Blücher nigdy nie rejterował. Ostatni wreszcie kielich, nie dajcie się prosić! Karnawał skończony, ja za kilkanaście dni wyjeżdżam na wieś; Bóg wie, kiedy się znowu zbierzemy razem.

— W takim stanie rzeczy, nie należy odmawiać—rzekł rotmistrz—za moich zaręczam, żaden się nie cofnie; ja tylko nie dotrzymam dziś kroku jako odkomenderowany z czynnej armii do lazaretu. Służba atoli na tem nie straci; odwołuję się do ustaw wojskowych i wzywam porucznika aby mnie zastąpił.

Węgier poparł te słowa skinieniem głowy i spojrzał na towarzysza, który potakując mu odpowiedział.

— Zawstydzasz nas Władziu—odezwał się jeden z polskiej młodzieży — w mieście ze wszystkich jesteś najżwawszy; wszędzie cię pełno, ale też zato jak umkniesz do siebie na wieś, po same uszy zakopujesz się w gospodarce, z nieporównanym zapałem sadzisz kartofle, palisz gorzałkę; niezaręczyłbym nawet, czy wkrótce nie będziesz cukru z buraków wyduszał?

— Cóż mam lepszego do roboty? wypełniam jak mogę moje powołanie. Zresztą, czyliż nigdy nie słyszeliście, że głównem bogactwem naszego kraju jest rolnictwo, że podniesienie wartości ziemi przyczynia ojczyznie potęgi, a tem samem jest pierwszym obowiązkiem każdego obywatela.

— Amen!—dodał Juliusz—prawisz jak kalendarz gospodarski. Otóż to nazywa się łączyć korzyść z zabawą. *Utile dulci*, mawiał nieboszczyk mój dziadek, ilekroć stawiano przed nim butelkę węgrzyna.

— Zapewne, ciągnął dalej Mysłowski, tak jest, tak powinnibyśmy wszyscy postępować, ależ znowu żyć samemu na wsi, nie widywać nikogo, nie mieć nawet do nikogo przemówić, wyjąwszy do podwładnych — życie takie, przyznam się trochę za twarde. Jeszcze żonatemu półbiedy, jest przynajmniej kobieta w domu.

— Chciej tylko Jasiu szczerze się zająć — rzekł Wilczek — a niebawem będziesz się na brak czasu uskarżał. Co zaś do samotności?... ja lubię samotność, przyjemniejszem mi po niej wasze towarzystwo. Nieznam nudy, i jeżeli mam otwarcie powiedzieć, tam tylko się nudzę gdzie mnie nie ma.

— Prawda Władziu — dał się słyszeć głos Skałki — my także ciebie naśladujemy i tam bawimy się najdoskonalej, gdzie ty jesteś. Sądzę jednak, że nie od rzeczy był ostatni dodatek Jasia, wygodnie to na wsi mieć choćiaż jedną kobietę.

— Widzieliścież kiedy w życiu coś bezbożniejszego od starych bezżenników?—odrzekł Wilczek z uśmiechem, obracając się do towarzystwa. — Kapitanie, zostaw każdego własnym jego upodobaniom; pojmujemy, że przepadasz za kobietami, pozwólże nawzajem, aby i tacy ludzie oddychali na świecie, dla których płeć piękna nie stanowi koniecznego warunku życia.

— Oj Władziu!—odparł Skałka przymrużając oko, mnie się zdaje, że ty nie masz prawa do nich się liczyć.

Juliusz wpatrzył się w koniec noża i zaczął nucić jakiegoś rozkosznego wiedeńskiego walca; Wilczkowi wyraźnie nie do smaku szła rozmowa, z pośpiechem więc prosił Hoszwarego o powtórzenie początku historyi, w której rotmistrz opowiadał o dziwnym fatalizmie, ciążącym nad jedną ze znakomitych siedmiogrodzkich rodzin, nad hrabiami Belleznoj, i właśnie dochodził do miejsca, gdzie ostatni z nieszczęsnego domu wyzwał był na śmiertelny pojedynek rodzonego brata, gdy wszedł hajduk i wręczywszy list Hoszwaremu, stanął przy drzwiach wyprostowany, czekając na odpowiedź.

Rotmistrz uciął nagle opowiadanie, i lewą ręką z niecierpliwością jął rozrywać kopertę.

— Obecni, ciekawie utkwili oczy w Hoszwarego, w przeczuciu, że nadesłana nowina musiała ściągać się do całego towarzystwa, albo też, co niepodpadało wątpliwości, do porankowego wypadku. Rotmistrz przechylił się na krześle, trzymał w oddaleniu papier; pismo snać było niewyraźne, powoli więc mruczał pod nosem niezrozumiałe węgierskie wyrazy. Wilczek nie mógł dłużej powstrzymać milczenia.

— Jedno tylko słowo, rotmistrzu — rzekłszy — mów, czy Nemesz jest w niebezpieczeństwie?

— Bynajmniej — odparł Węgier, spokojnie składając pismo, nic się Nemeszowi nie stanie; jestto list od naszego pułkownika.

— Pakuje was wszystkich na tydzień do kozy? — przerwał Skałka.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* — **MAGAZYN „METROPOL"** — Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 766—50-33

Gabinet-dentystyczny.

ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-11 pzyjęcie od 9 do 6:
Chmielna N-r 16. m. 4.

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI
M. TENCERA
WARSZAWA, Krakowskie-Przedmieście Nr. 39 (obok hotelu Saskiego). i Senatorska Nr. 22 (róg placu Teatralnego).
Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50 44

Nowo-otworzony Magazyn Mód
L. ZIELIŃSKA
11. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-37



FABRYKA GORSETÓW
WILHELMA STEINER
S-to Krzyzka 34 róg Jasnej. 869-12-2
Najlepsze materyały, najświeższe fasony, ceny przystępne. Na prowincyę wysyłamy za zaliczeniem pocztowem.

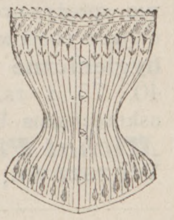
Nagrodzone na Wystawie Hygenicznej w Warszawie Dyplomem honorowym.

do nabycia wszędzie | Najlepsza Marka krajowa. | KAKAO funt R. 90 i Rs. 1. | KAKAO na sposób Holenders. | EXELSIOR funt Rs. 1,20 i Rs. 1,50. | Najlepsza Marka krajowa. | do nabycia wszędzie

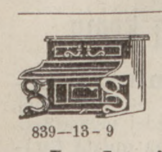
poleca Parowa Fabryka Czekolady i Cukrów **E. WEDEL**
Filia w Warszawie i w Łodzi. 792-12-10.



W.W. Paniom poleca się
nagrodzony na wystawie pracy kobiet
PATENTOWANY SZYNDLERA
BIUSTHALTER
Senatorska N. 26. 776B—20-12



SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-21



FABRYKA
PIANIN
839—13—9
Ludwik Hildt (Syn)
Nowogrodzka № 11.

KWIATY
SZTUCZNE poleca
• M. CIECHANOW •
Elektoralna 31. 822—15—10

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH
Felicyi Rongers
S-to Krzyzka 3i m. 20
Przyjmuje obstalunki tak z własnych jak i z powierzonych materyałów. Krój i fason podług najświeższych żurnali. Wykonanie staranne. Ceny umiarkowane. Zarazem uczę kroju oryginalnym systemem Wortha. 867-5-2

Welocypedy dziecinne,
Wózki dziecinne, 843—12—8
Fotele dla chorych
w najlepszym gatunku,
Wszelkie reperacye najtaniej poleca
NOWO-OTWORZONA PRACOWNIA
Stanisława KŁYSZEWSKIEGO
Aleja Ujazdowska № 17.



!! BEZ KONKURENCYI !!
Wózki dziecinne i Welocypedy najnowszych zagranicznych fasonów poleca fabryka
I. SŁOBODSKIEGO
872—10—1 Długa Nr, 30 Warszawa,

Są do nabycia w księgarniach podręcznik naukowe pedagoga **Reussnera** p. t.

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego** a **gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela,** z objaśnieniem **wymowy** i z **Kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek" Polsko-Niemiecki, kurs wstępny **(Elementarz)** po kop. 10, 20, 35; — kurs I-szy kop. 60,—kurs II-gi kop. 1.60, — komplet (oba kursy) kop. 2.00; **Rusko-Niemiecki Samouczek** po kop. 10, 20, 35 i 2.70.

„Samouczek" Polsko-Francuski, kurs I-y 13 zeszytów, kurs II-gi 24 zesz. Gramatyka Polsko-Francuska 10 zesz. po 15 kop. (pocztą 18 k.); na zaliczkę wysyła się tylko **20, 10** lub przynajmniej **6** zeszytów.

Kurs I-y z drugiej edycyi w całym tomie kosztuje rs. 1 k. 20 (pocztą rs. 1 k. 35). Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka" Francuskiego** wprost **od autora,** otrzyma jako **bezpłatne premium** dzieło wartości rs. 1 k. 20.

„Samouczek" Polsko-Angielski kurs 1-szy kop. 75,— kurs II-gi kop. 1.20, komplet kop. 1.70.

„Samouczek" Polsko-Ruski z wymową i akcentowaniem wychodzi zeszytami po 10 kop. (pocztą 13 kop.).

„Samouczek" Francuski i Ruski został opracowany i wydany tylko wskutek usilnego domagania się Szan. Publiczności i pp. Pedagogów.

Amerykański Przewodnik z rozmówkami angielskiemi, wydanie II-ie znacznie powiększone, 50 kop.

„Samouki *Wielcy ludzie"*, t. j. 33 życiorysy najsławniejszych ludzi z 16 rycinami, 80 kop., w oprawie rs. 1 k. 50.

Petöfi Aleksander, król poetów węgierskich, wieszcz nieśmiertelny, bożyszcze narodu madziarskiego, poeta nad poetami. Kop. 70, opr. rs. 1 k. 20.

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami **(741 figur)** po 4, 15, i 25 kop.

Na przesyłkę pocztową dolicza się 20 kop. do każdego rubla. — Skład u autora **(Reussnera),** Złota 6, Warszawa. 790—11-8

MAGAZYN MÓD
J. T. MIERNOWSKA. 874—4—1
Chmielna Nr. 29 w Warszawie.
Poleca wielki wybór kapeluszy sezonowych.

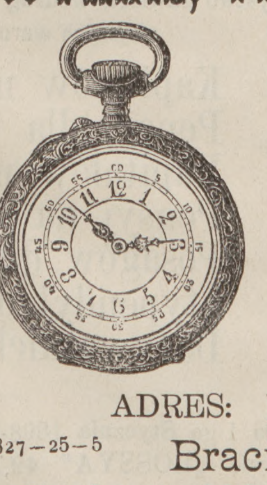
NAUCZYCIELKA z konwersacyą języków, muzyki, naukami klasycznemi poszukuje miejsca na wyjazd tanio. Oferty składać w redakcyi „Tygodnika Mód i Powieści" *Chmielna 26* pod **„Rada".** 882—1—1

NOWO OTWORZONY SKŁAD
MATERYAŁÓW APTECZNYCH I FARB.
prowizora formacyi
BERNARDA HEIMANA
Warszawa, ulica Nowo-Senatorska 8 (obok Placu Teatralnego)
Poleca wszelkie artykuły w zakres specyalności wchodzące po cenach nizkich w wyborowych gatunkach. 876—12—1

LECZNICA
Marszałkowska № 94,
róg Nowogrodzkiej (gdzie apteka W-go Barcza).
Porady we wszystkich specyalnościach dla przychodzących chorych od g. 9 do 4 i od 7 do 8 p. p., codziennie, nie wyłączając niedziel i świąt.
Cena kop. 30. 806—15-13

FORTEPIANY nowego systemu
po cenie pianin poleca
W. BRAWECKI
b. współpracownik firmy **Krall i Seidler**
Jerozolimska 49.
Przyjmuje reparacye i strojenie po cenach przystępnych. 826—12—10

!! TANIE, PRAKTYCZNE I KORZYSTNE !!

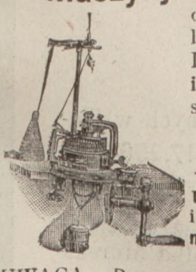


Ozdobne i trwałe kieszonkowe zegarki męzkie, odkryte, remontuar, t. j. nakręcane bez klucza, ze szkłem ochraniającym od kurzu, trwałym mechanizmem, grubo złocone, niczem nie różniące się od prawdziwych złotych, **z ozdobnym łańcuszkiem** z nowego złota amerykańskiego

TYLKO za 5 rubli.
Gwarancya piśmienna na 6 lat.
Zegarki, dokładnie wyregulowane, wysyłamy po otrzymaniu 1 rs. zadatku.

ADRES: FIRMA HANDLOWA
827—25—5 Braci WARKOWICKICH
Skład genewskich i francuskich zegarów w Warszawie, Królewska № 29.

Maszyny Pończosznicze



oddawna poszukiwane najlepszej fabryki Koepégo w Laubegast systemów „Lamb" i „Victoria" nadeszły do składu HURTOWEGO maszyn do szycia
A. Goldberga
ulica Długa Nr. 43
i sprzedaje takowe **detalicznie po cenach hurtowo-fabrycznych.**
UWAGA. Powyższe maszyny z powodu wysokich cen od dłuższego czasu nie były prowadzone przez tutejszych kupców. Obecnie zaś fabryka ceny znacznie zniżyła dając możność sprzedawać swoje maszyny, wszędzie uznane za najlepsze po cenach tańszych od wszystkich innych fabryk. 862-3-3

SPRZEDAŻ MASZYN DO SZYCIA
ulepszonego systemu SINGERA
na rozpłaty tygodniowe, za gotówkę 15% rab.
Józef RABINOWICZ
Leszno Nr. 24, m. 6. 821—25—5